

Balkany zdobyte zimą

4 marzec 2014



fol. Archiwum wyprawy

Balkan Winter Expedition 2014, czyli zimą po najwyższe szczyty Bałkanów

Pomysł organizacji wyprawy w góry Półwyspu Bałkańskiego zrodził się kilka lat temu, podczas wyjazdu w **Góry Dynarskie** na najwyższy szczyt Chorwacji - Vrh Dinare. Stwierdziliśmy, że kompletując Koronę Europy należy wykorzystać to, że najwyższe szczyty państw bałkańskich są położone stosunkowo niedaleko od siebie i zamiast organizować liczne małe wyjazdy, można przygotować jedną, większą wyprawę, w ramach której spróbujemy wejść na najwyższe wierzchołki kilku bałkańskich państw. W międzyczasie pojawiło się oczywiście wiele innych górskich projektów, które na bieżąco realizowaliśmy, ale wizja dużej wyprawy na Bałkany nie przestawała nas kusić.

Na początku września 2013 zapadła decyzja – nie będziemy dłużej zwlekać, czas zorganizować wreszcie ten wymarzony projekt. Zdobycie najwyższych szczytów siedmiu państw podczas jednego wyjazdu zapowiadało się naprawdę ciężko, dlaczego więc nie podnieść poprzeczki jeszcze wyżej i nie zrobić tego w zimie? Zwłaszcza, że w żadnych polskich źródłach nie mogliśmy znaleźć informacji na temat zimowych wypraw w te regiony. W taki sposób narodził się projekt **Balkan Winter Expedition 2014**. Wtedy też rozpoczął się długi okres przygotowań. Ostatecznie w skład wyprawy weszło trzech członków Klubu Górskiego „Olimp” im. Tomka Nowaka z wrocławskiego AWFu, a mianowicie autor tego tekstu, czyli **Adam Karasewicz, Tomasz Żłobiński i Joanna Maćków**. Czwartym - i jak się potem okazało - bardzo mocnym ogniwem ekipy została **Jagoda Podkowska**, mistrzyni Polski w brazylijskim Jiu-Jitsu, dla której miała to być pierwsza zimowa górską wyprawa.

Nadejście walentynek oznaczało dla nas w tym roku początek amorów z bałkańskimi szczytami. Na pierwszy ogień wybraliśmy Rumunię, która do państw bałkańskich zaliczana jest głównie ze względów historycznych i kulturowych, gdyż większość jej terenów leży poza Półwyspem Bałkańskim.



Moldoveanu, fot. Archiwum wyprawy

MOLDOVEANU 2544mnpm

Po kilkunastogodzinnej podróży docieramy do miejscowości Sambata de Sus, skąd dalej drogą na południe jedziemy w kierunku gór, mijając Monastyr Brancoveanu i wjeżdżając na gruntowe, górskie drogi. Dojeżdżamy samochodem tak daleko, jak to tylko możliwe, szybko ubieramy się w górską odzież, pakujemy do plecaków żywność, sprzęt biwakowy i ruszamy, żeby maksymalnie wykorzystać te kilka godzin, które zostały nam do zachodu słońca. Mijamy po drodze schronisko, gdzie przez kilka minut rozmawiamy z grupką ludzi – pytają nas gdzie idziemy, my na to, że chcemy dziś jeszcze dojść jak najbliżej przełęczy i tam biwakować. Patrzą na zegarki i kiwając głowami pytają, skąd jesteście. Gdy słyszą, że z Polski, uśmiechają się i mówią, że w takim razie na pewno damy sobie radę. Gdy zapada zmrok nasze namioty są już rozbite na wysokości ponad 1700m pod przełęczą Fereastră Mare, a pełne gwiazd niebo zwiastuje doskonałą pogodę na jutro. Oglądamy jeszcze chwilę oświetlaną przez światło księżyca grań i zmęczeni szybko zapadamy w sen. Budzimy się jeszcze zanim pierwsze promienie słońca oświetlą nasze namioty, postanawiamy je zostawić i nieco odciążeni w ten sposób ruszamy w kierunku grani. Kiedy dochodzimy na przełęcz oceniamy zagrożenie lawinowe – dzięki łagodnej zimie czujemy się bezpiecznie, choć stoki które trawersujemy przy gorszych warunkach śniegowych mogłyby być bardzo niebezpieczne. Wędrówka z przełęczy w kierunku szczytu jest bardzo długa i wyczerpująca, trzymając się grani ciągle podchodzimy niemal pod sam wierzchołek wzniesienia, by potem znów schodzić kilkaset metrów w dół, a szczytów na naszej drodze mijamy wiele. W końcu zza chmur wyłania się charakterystyczny, trapezoidalny kształt najwyższej góry Rumunii. Dochodzimy do schronu na przełęczy, gdzie zostawiamy plecaki i po kilkunastu minutach odpoczynku ruszamy na lekko w kierunku wierzchołka, podchodząc stromym podejściem najpierw na szczyt Vistea Mare, skąd eksponowaną granią bez większych problemów dochodzimy wreszcie po dziewięciu godzinach na Moldoveanu. Po upamiętnieniu pierwszego sukcesu wyprawy na fotografii schodzimy do schronu i w nim zostajemy na noc. Nazajutrz ponownie czeka nas trawersowanie dużego odcinka głównej grani Fogarasz, ale w tą stronę idzie się szybciej, ze schronu do namiotów zdeponowanych pod przełęczą dochodzimy w około

4,5h. Tego samego dnia dochodzimy do samochodu, kąpiemy się w górskim potoku, przygotowujemy ciepły posiłek i ruszamy w dalszą drogę, tym razem do Serbii.

MIDŻUR 2169mnpm

W nocy, po ośmiu godzinach jazdy docieramy wreszcie w okolice szczytu o nazwie Babin Zub, leżącego w Starej Planinie i tam rozbijamy namiot. Wiemy, że na Midżur prowadzi łatwa i krótka droga, więc pozwalamy sobie pospać tym razem nieco dłużej. Samochód zostawiamy na parkingu hotelu Babin Zub i na lekko ruszamy w kierunku najwyższego szczytu Serbii. Z informacji zaczerpniętych u miejscowych wynikało, że do szczytu jest około 3h marszu – nam udało się wejść w zaledwie 1,5h. Ponownie łagodna zima bardzo nam pomaga i dużą część trasy pokonujemy idąc po trawie. Nawet na wierzchołku nie było zbyt dużo śniegu, choć jakby nie patrzeć byliśmy tam w samym środku kalendarzowej zimy. Na szczycie postanawiamy wejść jeszcze nieco wyżej, więc razem z Tomkiem konstruujemy dwójkową piramidę, a dziewczyny ćwiczą równowagę, robiąc jaskółkę na szczytowym obelisku. Schodzimy w równie szybkim tempie i postanawiamy tego dnia zaznać dobrodziejstw miejscowej kuchni i bieżącej wody, więc udajemy się najpierw do miejscowości Piroć, gdzie kosztujemy różnych wytworów miejscowych masarni, a następnie do Dimitrovgradu, gdzie w wygodnym hotelowym łóżku układamy się do snu. Jutro Bułgaria!



Musala, fot. Archiwum wyprawy

MUSAŁA 2925mnpm

Pod najwyższym szczytem Półwyspu Bałkańskiego znajduje się największy w Bułgarii ośrodek narciarski Borovets, w sezonie tętniący życiem, pełen amatorów białego szaleństwa. Dojeżdżamy na parking przy kolejce gondolowej Borovets-Jastrebets, tradycyjne przepakowanie i już siedzimy w kabinie kolejki. Jesteśmy chyba jedynymi osobami w całym miasteczku, które nie mają nart. Plan jest prosty – wysiadamy z kolejki i idziemy w kierunku szczytu, szukając dogodnego miejsca na biwak. Rozbijamy się na wysokości 2400m z widokiem na Musalę, a ja idę jeszcze do schroniska górskiego na krótki spacer. Spotykam tam parę Bułgarów, którzy podobnie jak my

chcą zaatakować jutro najwyższy szczyt Bałkanów. Dowiaduję się od nich, że schronisko Everest Hut, znajdujące się pod szczytem, miało zostać postawione przez Bułgarów w bazie pod Mount Everestem, ale władze Nepalu nie wyraziły na to zgody, a jako że wszystko było już gotowe do montażu, to ostatecznie znalazło swoje miejsce właśnie w masywie Riła, pod najwyższym szczytem Europy Wschodniej. Wracam do namiotu, gotowanie, jedzenie, spanie i z samego rana wychodzimy w kierunku szczytu. Trasa jest bardzo dobrze oznakowana, a od schroniska Everest Hut do szczytu poprowadzone są grube, stalowe liny, więc nawet przy złej pogodzie i dużej ilości śniegu można spokojnie wybrać się na dach Bułgarii. Po około dwóch godzinach docieramy na wierzchołek, który szpeci budynek obserwatorium ekologicznego. Najwyższy często nie znaczy najładniejszy lub najtrudniejszy, więc spędzamy raczej niewiele czasu na szczycie i rozpoczynamy zejście. Spotykamy po drodze kilku wędrowców, a im bliżej kolejki tym więcej przypadkowych turystów. Po zejściu do auta i zjedzeniu posiłku ruszamy od razu do Macedonii.

GOLEM KORAB 2764mnpm

Kierujemy się na miejscowość Mavrovi Anovi, tam pytamy o dalszą drogę w sklepie i ekspedientka dzwoni do kogoś, kto będzie potrafił po angielsku wytłumaczyć nam jak dojechać do posterunku policji Strezimir, znajdującego się blisko granicy macedońskiej z Albanią i Kosowem. Głosem w słuchawce okazuje się być policjant, który zdecydowanie odradza nam udawanie się w góry o tej porze, mówiąc że to niebezpieczne. Jesteśmy jednak zdeterminowani i już po chwili tłumaczy nam, gdzie mamy się udać. Skręcamy z asfaltowej drogi w prawo na mostek, przy którym jest mały ołtarzyk z krzyżem – charakterystyczny punkt dla wszystkich, którzy będą się udawać w te rejony. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów droga z asfaltowej przeistacza się w gruntową, pełną dziur i kamieni, jedziemy bardzo wolno, więc 12km które pokonujemy wydaje się ciągnąć w nieskończoność. W końcu widać światła a po chwili także i zabudowania – to posterunek Strezimir. Uzbrojeni policjanci zbierają nasze paszporty, aby dopełnić formalności. Są dla nas bardzo mili, chętnie z nami rozmawiają, pokazują skąd możemy czerpać wodę i gdzie możemy się rozbić. Pytamy ich o możliwość dalszej jazdy do kolejnego, położonego wyżej posterunku, ale oni oglądają nasz mocno obciążony samochód i mówią, że nie ma żadnych szans żebyśmy tam dojechali – na drodze, którą jeżdżą wojskowe samochody terenowe, w wyższych partiach zalega zbyt dużo śniegu. Jeden z żołnierzy wspomina, że w górach jest bardzo dużo wilków i niedźwiedzi, ale że tu, blisko posterunku będziemy bezpieczni. Dowiadujemy się także, że na drodze pomiędzy posterunkami w lawinach zginęło dotychczas już 60 osób, a w 2005 roku nawet jeden z oficerów policji. Nazajutrz budzimy się nieco zbyt późno – podróż powoli daje się we znaki. Autem podejżdżamy najwyżej jak to możliwe i w dogodnym miejscu zostawiamy je, a do kolejnego posterunku dochodzimy już pieszo. Tam ubieramy raki i ruszamy przez las, po kilkudziesięciu minutach wychodząc na olbrzymie pola śnieżne. Śniegu jest tu sporo, ale jest mocno zmrożony i związany z podłożem. W końcu stromym żlebem docieramy do grani na wysokość 2600m. Tam okazuje się, że od szczytu dzieli nas jeszcze długi odcinek – trzeba wytracić sporo wysokości schodząc na przełęcz, wejść na kolejny szczyt, ponownie zejść na przełęcz i dopiero stamtąd granią można dojść do wierzchołka. Do zmroku zostało niewiele czasu, więc dzielimy się na dwa zespoły dwójkowe – jeden ryzykując zejście w ciemnościach rusza w bardzo szybkim tempie do wierzchołka, a drugi rozpoczyna zejście i ma

czekać na nich niżej. Tomek i Jagoda po 2 godzinach wyczerpani stają wreszcie na najwyższym szczycie dwóch państw – Macedonii i Albanii. Nie mając czasu na celebrowanie zwycięstwa od razu rozpoczynają zejście. Spotykamy się razem już o zmroku w strażnicy, gdzie policjanci pozwalają nam przesuszyć rzeczy i dają nam się napić, a następnie wspólnie wracamy do auta. Najprawdopodobniej było to pierwsze polskie zimowe wejście na ten szczyt. Kolejnym etapem naszej podróży będzie Kosowo.

DJERAVICA 2656mnpm

Po wjeździe do Kosowa postanawiamy zająć się uszkodzonym w Macedonii tłumikiem, do czego zachęca nas duża ilość warsztatów samochodowych. Mechanicy natychmiast zajmują się naszym samochodem i już po nieco ponad godzinie kontynuujemy naszą podróż do Dečani, gdzie odpoczywamy cały wieczór. Następny dzień, ze względu na zalegające nisko chmury i opady także przeznaczamy na regenerację sił, ale kolejnego dnia, mimo niepewnej pogody ruszamy w góry. Mijamy pozostałe po wojnie zasieki i dalej gruntową, górską drogą wzdłuż potoku pniemy się powoli do góry. Po drodze w lesie widzimy liczne place budowy – prawdopodobnie za kilka lat będą tu stały ośrodki wypoczynkowe i hotele. Ponownie dojeżdżamy samochodem tak daleko jak to możliwe i rozpoczynamy wędrówkę przez las wzdłuż potoku, by po około dwóch godzinach marszu wejść w gęsty las, gdzie szybko zdobywamy wysokość. Nieuczęszczana w zimie trasa sprawia nam małe problemy orientacyjne, ale dzięki GPSowi Garmina szybko wracamy na właściwą drogę. Wychodzimy na rozległe pola śnieżne, gdzie widzimy przysypane po dach chaty pasterskie, a z każdym kolejnym metrem w pionie coraz bardziej wbijamy się w zalegające wszędzie chmury. Widoczność spada chwilami do kilku lub kilkunastu metrów i znowu tylko fakt posiadania GPSa sprawia, że nie błędzimy. W pewnym momencie na wysokości 2200m wchodzimy w niebezpieczny, eksponowany teren, mając nadzieję, że to początek grani szczytowej, ale okazuje się, że na jego końcu jest tylko kilkunastometrowa przepaść. Wycofujemy się stamtąd i po krótkiej debacie postanawiamy zawrócić. Przy tak złej widoczności i dużej ilości świeżego śniegu kontynuacja akcji górskiej mogłaby skończyć się tragicznie. Wracamy z powrotem po własnych śladach i wieczorem jesteśmy już znów w Dečani. Mamy bardzo dobre prognozy pogody na kolejny dzień a dziewczyny bardzo chcą spróbować zaatakować ten szczyt raz jeszcze, więc decydujemy, że korzystając z przetartego śladu pójdą nazajutrz raz jeszcze, ustanawiając tym samym pierwsze polskie zimowe kobiece wejście na najwyższy szczyt Kosowa. Kiedy już zaczynamy się o nie martwić, dostajemy wiadomość, że właśnie schodzą ze szczytu! Dzięki ich dokonaniu możemy z czystym sumieniem opuścić Kosowo i udać się do Czarnogóry.



Zła Kolata, fot. Archiwum wyprawy

ZŁA KOLATA 2534mnpm

Wieczorem dojeżdżamy do wioski Vusanje i szukamy odpowiedniego miejsca na biwak. Jeden z miejscowych gospodarzy woła nas i mówi, że nie będzie dla niego problemem, jeśli rozbijemy się u niego na trawniku przed domem. Oczywiście korzystamy z jego uprzejmości i już po kilku minutach stajemy się sąsiadami. Rano naszym oczom ukazują się niesamowite krajobrazy Gór Przeklętych, które otaczają wioskę z każdej strony. Na niebie nie ma ani jednej chmurki, szybko pakujemy się i ruszamy wzdłuż Ropojana Valley. Po około dwóch godzinach naszym oczom ukazuje się masyw Kolac, złożony z trzech szczytów: Dobra Kolata, Zła Kolata oraz najwyższego, leżącego już w całości po albańskiej stronie Maja e Kollatës. Nas interesuje Zła Kolata, ponieważ jest najwyższym szczytem Czarnogóry. Po mocno zmrożonym śniegu szybko dochodzimy do przełęczy Čafa e Preslopit na wysokości 2034m, skąd rozpoczynamy strome podejście w kierunku Dvojni Prevoj, czyli przełęczy między Dobrą i Złą Kolatą. Po drodze szybko i z należytym respektem przechodzimy pod wiszącymi nad nami nawisami śnieżnymi wielkości autobusów, mając nadzieję, że żaden z nich nie postanowi się jeszcze zerwać. Wyszukując drogę między skałami dochodzimy wreszcie na przełęcz, z której na Złą Kolatę prowadzi już bardzo łatwe i krótkie podejście. Na najwyższym szczycie Czarnogóry stajemy po około 4 godzinach. Słońce, które nas tak rozpieszczało, zaczyna jednak stawać się powoli naszym wrogiem – roztapiany śnieg przybiera konsystencję cukru i kilka razy zdarza nam się ujechać podczas zejścia kilkanaście metrów w dół. Śpieszymy się bo wiemy, że czeka nas jeszcze przejście pod ogromnymi nawisami. Kiedy je wreszcie mijamy, możemy odetchnąć z ulgą. Po drodze widzimy, że na naszych śladach leży kilkudziesięciokilogramowy kawał urwanej bryły lodu – to znak, że zagrożenia nie można było lekceważyć. Wracamy tym razem nieco inną drogą, a całą akcję górską udało się nam zamknąć w 7 godzin. Po zwinięciu namiotów udajemy się na nocleg do Gusinje i okazuje się, że cała miejscowość świętuje powtórne nadanie im po 60 latach praw miejskich. Dołączamy do miejscowych i świętujemy razem z nimi, a gdy pokazujemy im zdjęcia ze szczytu łapią się za głowy i mówią, że musimy być szaleni. No cóż, Polak potrafi! Bardzo zadowoleni kończymy naszą wyprawę i po dwóch tygodniach zmagania z góorskimi szczytami wreszcie kierujemy się w stronę domu. Bałkany oczarowały nas swoją gościnnością,

otwartością i wbrew wielu opiniom, dawały poczucie bezpieczeństwa, pomimo tego, że tak niedawno przecież prowadzono tu jeszcze działania wojenne. Z pewnością wrócimy kiedyś w te tereny i z czystym sumieniem możemy je polecić każdemu, kto kocha góry i podróżę.